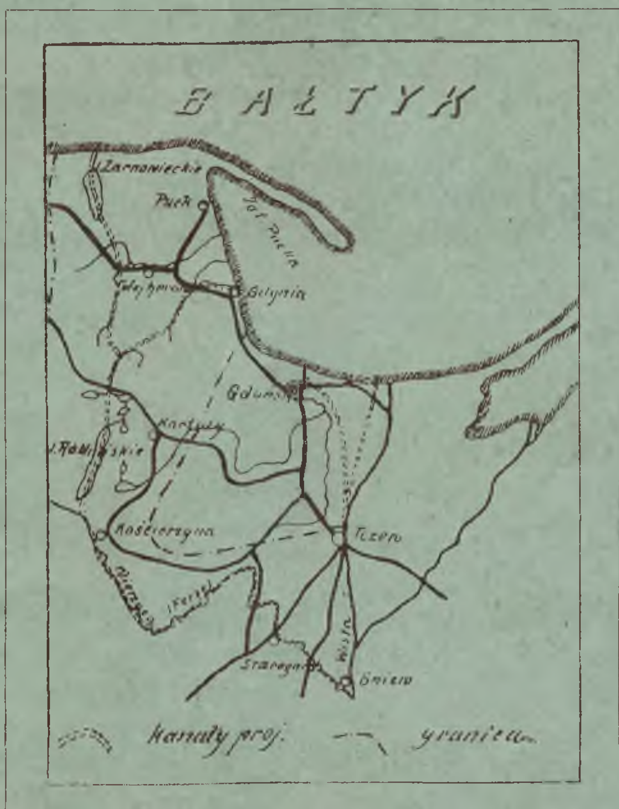
Rok II. Tarnów, Listopad 1920 r. Nr. 5. (l. b. 12.)

CZUWAJ

CZASOPISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

„POLSKIE MORZE“.

„Polskie morze“, „polskie morze“ — słyszymy. Fakt jednak opiera się tylko na tytule. Mały bowiem języczek Morza Bałtyckiego, bagienkowatego tu i płytkiego — okolony półwyspem Hela — nadawać się chyba może dla kuracjuszów, zjeżdżających tu w lecie na zresztą bardzo przyjemne wybrzeże! To jednak za mało. Nam potrzeba okna na świat, które dla nas niezbędne jest ze względów ekonomicznych i handlowych.



A mamy przecież tuż, tuż niegdyś tak polski — Gdańsk. Tu jednak jądro sprawy. To orzech, który znowu od półtora roku, t. j. od podpisania traktatu wersalskiego (28 czerwca 1919) gryziony jest przez koalicję wraz z delegacjami polską i gdańską — jednak dotąd bezskutecznie. Traktat wersalski, ten wiekopomny akt, tworzy z Gdańska wolne miasto, co więcej, prawie niepodległą republikę z własną konstytuantą i przedstawicielem koalicji na czele — przyznając Polsce tylko pewne prawa. To jednak dla Państwa takiego jak polskie mało, bardzo mało. My musimy mieć swój własny port.

Chwila obecna jest rozstrzygającą. Na Zachodzie bowiem toczą się rokowania w tej sprawie, obecnie mające się rozstrzygnąć.

W razie niepomyślnego dla nas wyniku, rząd ma już projekt gotowy — używając po prostu fortelu. Oto jak przedstawia powyższa rycina, z Tczewa lub Gniewu buduje się kanał, łączący to miasto z Gdynią. W tym wypadku powstaje obok Wisły druga Wisła, obok Gdańska drugi port, będący rynkiem zbytu dla całej Polski. Tak rzecz w teorji, praktyka nie odbiega jednak daleko; rząd polski wyasygnował już olbrzymią sumę na rzecz sporządzenia przygotowań i kosztorysów.

Miejmy jednak nadzieję, że dyplomacja nasza załatwi sprawę Gdańska w myśl najżywotniejszych interesów narodu.

CO KAŻDY WIEDZIEĆ POWINIEN?

Jak wygląda para wodna? Nie jest biała. Czemuż więc para, wychodząca z rury maszyny parowej, jest zupełnie biała? Oto poprostu dlatego, że nie jest to sama para, ale w znacznej części banieczki rozpylonej wody, pochodzące z pary, która na powietrzu się skropliła. Np. jeżeli lokomotywa wypuszcza parę z wysokiem ciśnieniem, to słup białej pary zaczyna się dopiero w pewnej odległości od wylotu rury, zaś u wylotu rury nie widać nic, bo para wodna jest zupełnie przeźroczysta i staje się widoczną dopiero po częściowem skropleniu. O tem samem przekonać się można, patrząc do garnka z gotującą się wodą. Gdyby para nie była zupełnie przeźroczystą, to powierzchni wody nie byłoby widać. Podobnie przekonać się można o przeźroczystości pary wodnej, patrząc na wodowskaz maszyny parowej. Nad powierzchnią wody znajduje się tam para o wysokiem ciśnieniu, ale zobaczyć jej nie można, bo jest przeźroczysta jak powietrze.

To też gdyby można popatrzeć do walca maszyny parowej, to widziałoby się tłok poruszający się tam i z powrotem, pozornie bez żadnej przyczyny.

Najlżejsze ciało. Za najlżejsze ciało uważano do niedawna wodór i nim też wypełnia się balony napowietrzne. Istnieje jednak pierwiastek jeszcze lżejszy, t. zw. koronium. Nazwa ta pochodzi stąd, że obecność tego pierwiastka stwierdzono po raz pierwszy w koronie słońca (korona jest to najzewnętrzniejsza część atmosfery słonecznej). Jest bardzo prawdopodobnem, że koronium stanowi jeden z głównych składników atmosfery, począwszy od 70 km. nad powierzchnią ziemi, i że atmosfera w wysokości 200 km. składa się z wodoru i koronium, zaś w wysokości 400 do 500 km. prawie wyłącznie z koronium. Dokładnie własności tego pierwiastka nie są jeszcze znane.

Co znaleziono w zwłokach egipskich. Kiedy odkopano groby w górnym Egipcie, w okolicy Zirga, znaleziono zwłoki ludzkie, które mimo swego wieku 4000 do 5000 lat były tak dobrze utrzymane, że można było zbadać zawartość ich żołądków. Znaleziono tam różne dziwne rzeczy. Pokazało się, że zwyczaj dzisiejszej młodzieży egipskiej, jedzenia myszy, już i wtedy był rozpowszechniony; w zwłokach małego dziecka znaleziono części kośćca zjedzonej myszy. Stwierdzono również obecność pozostałości ryb, dziś jeszcze używanych w Egipcie jako pożywienie. Rozpoznano również pozostałości roślinnego pożywienia. Stwierdzono spożyty jęczmień, migdały i rodzaj fasoli dziś zupełnie nie uprawianej ani nie używanej. Znalezione zostały także pozostałości gatunku winogron, podobnego do dzisiaj tam uprawianych. Odkrycia te wykazują, że w okresie co najmniej pięciu tysięcy lat rozwój roślin nie wiele postąpił i nie wiele się one zmieniły.

Zabezpieczenia przeciwpożarowe na okrętach. Jednym z ostatnich okrętów, które uległy pożarowi, był transatlantycki parowiec „Volturus". By dziś duży parowiec uległ pożarowi, jest możliwe tylko wtenczas, jeżeli wiezie dużo materjałów łatwopalnych. Zwykły bowiem pożar może załoga zapomocą parowych sikawek łatwo ugasić, o ile — rozumie się — ogień zostanie na czas spostrzeżony. To też różnych używa się na okrętach urządzeń alarmowych. Tak np. na wielkim okręcie „Imperator" z wszystkich ubikacji, w których znajdują się palne materjały, jak np. zapasy węgla, z magazynów i t. p. prowadzą rury na pokład. Wyloty tych rur umieszczone są za szybą na mostku komendanta, tak że mający dyżur oficer okrętowy łatwo może je obserwować. Gdyby więc w którejkolwiek z tych ubikacji wybuchł pożar, to dym wydobywający się natychmiast z odpowiedniej rury, alarmuje załogę. Wtedy poprostu wprowadza się do tej rury zapomocą pompy parę wodną pod wysokiem ciśnieniem, która wkrótce wypełnia palący się lokal i gasi ogień. Para wodna okazała się świetnym środkiem do gaszenia ognia.

Zatrute strzały. I dziś jeszcze stanowią zatrute strzały najlepszą broń dzikich ludów, które nie używają broni palnej. Umożliwiają im one polowanie nawet na grubego zwierza. Tak n. p. myśliwy z afrykańskiego szczepu Massai jest w stanie na odległość do 100 m. każde, nawet wielkie zwierzę powalić zatrutą strzałą. Do zatruwania strzał używane bywają roślinne i zwierzęce trucizny. Ainosi (mieszkańcy kilku wysp japońskich) używają soku tojadu, który zawiera trujący alkaloid. Zwierzę trafione taką zatrutą strzałą ginie w ciągu pięciu minut. Mieszkańcy malajskiego półwyspu Sakais mają nawet specjalne drzewo (Antiaris Toxicania), z którego kory, przez nacięcie, otrzymują sok, w którym następnie zanurzają groty strzał. 90 gr. tego soku wystarcza na około 100 strzał. Trafiona taką strzałą małpa ginie w ciągu 2 do 3 minut. Z trucizn zwierzęcych używane są najwięcej otrzymane z węży i żab.

Przyrządzanie tych trucizn połączone jest z licznemi ceremonjami. Tak n. p. członkowie pewnego szczepu indjańskiego nosząc wodę potrzebną do przyrządzania trucizny, stawiają ją co chwilę na ziemi, bo ich zabobon twierdzi, że ptak trafiony strzałą tak daleko poleci, jak daleko bez przerwy niesiono wodę. Naogół zawierają recepty na te trucizny często zabobonne dodatki.

W.

Rok II. Tarnów, Listopad 1920 r. Nr. 5. (l. b. 12.)



CZASOPISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
TARNÓW
MAŁA STRUSINA 2.

KONTO CZEKOWE
P. K. O, Nr. 14[illegible],612

CENA NUMERU
5 Mk

DO CZYTELNIKÓW!

Pismo nasze, mające za sobą całoroczną pracę intelektualną na niwie młodzieńczej, wchodzi z najbliższym numerem w fazę nowego życia. Zbiera siły i skupia się, by z nowym rokiem rzucić się na szerokie pole, porwać umysły swą siłą i aktualnością, a szerzyć zdrowe tchnienia wśród młodzieży. Pracy naszej niewielkie dotąd było pole; na szerszy teraz wypływamy prąd. Pismo obliczone dotychczas na mniejszą metę — aczkolwiek umiejętnie redagowane — rozszerza się, dostosowuje kierunek, by zająć i zaspokoić szersze dążenia, staje się zatem nadzwyczaj pożądanem, a rzadkiem w swoim rodzaju powszechnem pismem młodzieży.

Zadanie to wielkie i ciężkie, tembardziej, że oglądając się wokoło, widzimy, że na placówce jesteśmy prawie sami. Spodziewamy się jednak zadaniom sprostać.

W tym celu, stosownie do zadania, regulujemy i zmieniamy kierunek pisma, a wnikając głęboko w dążenia, zagadnienia i cele młodzieży, odpowiednio treść pisma na wielu polach rozszerzamy. I tak powstaje więc szereg działów, specjalnie młodzież interesujących.

A zatem:

1) Artykuły wstępne traktować będą o najważniejszych zagadnieniach życia bieżącego we wszelkich dziedzinach.

2) Dział polityczno-społeczny stale informować będzie Czytelników w tych sprawach zwykle nie poruszających szerszego ogółu, tak jednak z uwzględnieniem obecnej ich aktualności potrzebny młodzieży.

3) Dział wiadomości bieżących, tudzież „Ze świata" przynosić będzie najświeższe wiadomości, ciekawe dla młodzieży, z wewnętrznego jej życia, bliższego i dalszego otoczenia.

4) Umieszczanym będzie specjalny dział dla naszych żywo pismem się interesujących Czytelniczek — borwnie oddający prace i zadania kobiet.

5) Wiadomości z niwy literackiej i naukowej oddawać będzie dział recenzyjny. Stale umieszczane będą wiadomości z dziedziny sportu i innych spraw, równie bliskich młodzieży.

Do obfitego zawsze działu literacko-beletrystycznego zapewnione mamy plony literackie sił tak młodzieńczych,

jakoteż wypróbowanych. Nie powoduje io jednak zamknięcia naszych powiek na współpracownictwo zawsze pożądane Czytelników.

Dział ilustracyjny zawierać będzie znakomite zdjęcia, jakoteż rysunki zapewnionyóh nam piór artystycznych.

Ścichł na wschodnich rubieżach gwar oręża, Polska i Rosja podały sobie dłoń dla pokoju, gwarantując tem rozwój i pokojowe prace dla krajów. Trzeba zatem ze zdwojoną siłą zabrać się do odbudowy i pracy pokoju. Jedynym niemal w tym wypadku przewodnikiem i ostoją jest pismo.

Obowiązkiem więc każdego jest pismo młodzieży czytać, popierać i z niem współdziałać. Czy to zatem będzie gimnazjasta starszy lub młodszy, pensjonarka, seminarzystka, czy uczeń szkół zawodowych, wszyscy „Czuwaja" mieć powinni.

W celu lepszego zżycia się z młodzieżą i aktualności, pismo ukazywać się będzie perjodycznie co dwa tygodnie. Z miesięcznika przechodzi przetó na dwutygodnik, w zmienionym formacie. Nowa, sprężysta admistracja z dziwną punktualnością uskuteczniać będzie wysyłkę pisma tak dla miejsc rozsprzedaży, jak i dla prenumeratorów.

Spodziewamy się, że Czytelnicy nasi, popierając „Czuwaja" ze zdwojoną ciekawością, nie pozostaną w tyle w szerzeniu na każdym kroku jego idei.

REDAKCJA.

ŚWIT.

Staszek otwarł zaspane oczy i przeciągnął się.

„Co to, już jasno? Ale się człowiekowi nie chce wstawać! Wszyscy jeszcze śpią, lepiej ich nie budzić"!

Owinął się szczelnie w płaszcz i patrzał. Sen go gdzieś odbiegł, jakaś dziwna rześwość owładnęła jego umysłem. Nie czuł zmęczenia po wczorajszym marszu, nogi odparzone nie piekły. Patrzał — bo miał na co patrzeć.

Leżał na polance, zamkniętej ze wszech stron lasem. Polanka taka cudna, szmaragdowo-zielona, a w głębi ciemny, poważny bór, sędziwy jeszcze resztkami ciemności. Wokoło leżeli pomęczeni towarzysze, pookręcani w koce, burki, szynele, co kto miał. Ranek był chłodny, lekki wiaterek chwiał drzewami, które zdały się szeptać modlitwy poranne. Na liściach i trawie perliła się djamentowo rosa, poza drzewami można było dojrzeć zapalającą się łunę wschodu.

„Hej, hej"! — westchnął Staszek — „co to za czasy były! Co za cudne wschody słońca tam, w mojej wsi rodzinnej".

Przewijały mu się przez głowę wspomnienia. To dziwna, srebrna od rosy, lekko zamglona dal łąk, to poważne olbrzymy parku dworskiego, różowiące się z radości do wschodu, to ciemna, daleka linja gór, z poza których wyłaniała się tarcza życiodajnego słońca... I widział siebie tam na wzgórku w parku, kiedy zapatrzony w dal nie słyszał kroków zbliżających się...

„Już pan tu, panie Staszku? Tak wczas"? — budziło go z kontemplacji.

I widział... widział białą postać, anioła niemal, którą rzucił, bo wołał go obowiązek, bo Ojczyzna domagała się daniny krwi... Wspomniał chwilę pożegnania i ten odjazd o świcie...

Zdawało mu się niemal, że słyszał szept modlitwy matki, która z okna patrzy ku jutrzence i modli się za niego. A park jej wtóruje posępnym, długim jękiem... I jeszcze ktoś tam modli się za niego, tam, na wzgórku...

A on? Tyle potyczek szczęśliwie odbytych zostawił za sobą, tylu towarzyszy widział w męce konania, tyle razy kula przeszyła mu ubranie, nie czyniąc najmniejszej szkody, że wyrobił w sobie przekonanie, iż żyć musi i przeżyje!

Był świt... Na niebie łuna powoli zamieniała się w złoto, pierwsze błyski odbijały się wszystkiemi barwami tęczy w rosie... Z kątów polany unosiły się lekkie opary, niby dymy ofiarne... Staszek widział twarze uśpionych, jedne uśmiechnięte, drugie jakimś bólem skurczone, a sztandar z białym orłem chwiał się lekko...

Wtem zdało mu się, że słyszy szelest. Coś jak szara postać Moskala mignęło między drzewami. Ale nie! Chyba omyłka? — Moskale tutaj? Tu, w jądrze boru? O tym czasie? I znowu walka? W ten świt nowy, promienny?

Nie! Cicho było, ni szelestu, ni chrzęstu gałązek... Jeno czasem jakiś ptak śpiący poruszył się na gałęzi, strzepując rosę, która jak wielkie łzy spadała na trawę. Mchy brodate pokryte były jakby srebrnym pancerzem.

„Budzić ich? A nuż? Już świt"! — zastanawiał się chłopiec.

Ale w tej chwili ogarnęło go straszne rozleniwienie.

„Poco? Tacy pomęczeni! Niech odpoczywają lepiej"!

Tymczasem spoglądnął ku wschodowi i oniemiał... Całe morze krwi, wszędzie, wszędzie krew. I te złote promienie słońca, drgające na liściach i blask na niebie i rosa, wszystko było tak krwawo czerwonem...

„Rany Boskie"!

Spojrzał na towarzyszy. Pokryci również wilgocią ranka, wyglądali jakby ukąpani we krwi... Nic, tylko krew...

„Co to znaczy"?

Spojrzał w las i zamarł bez ruchu... Przed oczyma jego przewijał się dziwny korowód mar, dawno minionych chwil... To dymy bitewne, to jakieś stosy trupów, przesiąkłe czerwienią, to ogniska krwawo łyskające wśród drzew, to zgliszcza popalonych chat.... A nad tem wszystkiem niebo oblane purpurą, straszne, złowróżbne...

„Czy oni się może już nie zbudzą? To trupy może"? — pomyślał o towarzyszach.

„Już czas! Zbudź ich"! — szeptało mu coś do ucha.

A tu wokoło krew, świeża, czerwona krew.

Znowu szelest! Stach zerwał się jak opętany, widząc między krzakami szary szynel moskiewski. Pochwycił sztandar i potężnym głosem zawołał:

„Wstawać! Już świt! Do broni"!

Padł strzał i chłopak runął na mokrą murawę. Polana zaroiła się od ciemnych postaci, znów walka miała się wywiązać. A Staszek leżał spokojny, z oczyma utkwionemi w niebo, owinięty sztandarem... Źrenice jego nie drgały, ale mimoto patrzały... oglądały nowy świt... świt bez krwi i walki.

Z. Przybyłkiewicz.

JERZY BRAUN.



Opowieść nowa.

(Ciąg dalszy).

Gdy napadam na krokodyla,

to on patrzy głupio, jak cielę antylopy
i rusza ogonem — a potem ucieka —
i myśli wtedy troszkę prędzej —
ot tak:
— O, o, o, —
co to — co to — co to —
do wody — do wody
szust — chlup
a, a, a,
en — la — la
o, o, o,
do wody —
prędko — szybko
chlup! — — — —
i już go mam.
Staję na nim nogami —
przylepiam go do ziemi,
jak rozpłaszczony banan,
a on rozwiera szeroko szczęki,
aż mu widać chropawe dziąsła
i milczy...
Ja zaś odchodzę bez wyrzutów sumienia —
— bo krokodyl jest gad —
podłużne, płaskie zwierzę —
ma zimną, lepką krew
i nie umie wydawać głosu.
Jest drętwy, drewniany i głupi, jak trawa.

——:—:——

Piękną jest rzeka.

Płynie w niej woda powoli, uważnie
przelewając się z chlupotem po kamieniach
milcząco, uroczyście, usypiająco — — —
płynie woda — i chlupie —
powoli — raz dwa — raz dwa —
zapach jej jest słodki i przyjemny.
Stoję na brzegu —
jest ciche południe —
słońce skwarzy żółto —
powietrze drga i podskakuje —
rozgrzana woda drga
i faluje — — — —
Zanurzam koniec trąby
u samego brzegu we fale
i nie spieszę się, jak trwożne jelenie —
piję z namysłem, smakująco,
a przyjemne, mokre uczucie przepływa mi
gulgocząc przez skórzaną rurę trąby —
wlewam napój w gardło,
jest mi świeżo,
żołądek mruczy —
a naokoło jest cichutko, uroczyście. —
Po obu biodrach rzeki
stoją wyprostowane piersi lasów —
drzewa sztywne, umaczane nogą w ziemi
rozmierzwiony łeb wtykają w niebo
i jest im bardzo gorąco.
One kiedy milczą
to całkiem inaczej, jak krokodyle.
Czuć w tem zamyśloną powagę
i nie byle co. —
One słuchają, jak soki pulsują im w pniach,
jak się gałęzie rozrastają wszerz,
jak twardnieją, krzepczeją i dojrzewają.
A tu tymczasem
rzeka chłodna
w korycie
płynie, pluszcze, chlupota, klekota
plusk — plusk
chlup — chlup
po kamyczkach, po piaseczku mięciutkim.
Liany wiszą, jak kudły małp nad wodą,
Jaskrawozielone papugi drą się: krii — krii —
i w prostych linjach
przecinają błękitne powietrze. —
małpy, długorękie gibbony, grivety
skaczą hyc, hyc po gałęziach
i wiszą na ogonach
i wrzeszczą,
aż się echo gdzieś tłucze po Puszczy.
Słoń stoi nad wodą i milczy,
pijąc powolutku, —
las chwieje wierzchołami i milczy —
— czasem szum, szelest, łomotanie wiaterków —
woda lodowata luźno przelewa fale —
pluszcze, chlupie leciutko po kamyczkach
i milczy — — — —— —

——:—:——

I tak minęło wiele lat.

Ja byłem już stary —
Byłem mocny, jak dwadzieścia czarnych bawołów.
Rośliny przestały być moją wyłączną pastwą.
Zabijałem antylopy, węże i kozy —
Zabijałem nosorożce —
— których garb przysmakiem jest dla ludzi —
i poznaczyłem grunt Puszczy krwawo.

I tak minęło wiele lat.

Ojciec mój przestać żyć
— i pobiegł do Raju Słoni,
odgryzać gałązki akacji,
ciało Matki zjadły krokodyle.
Przybyło wiele szczegółów w Puszczy,
których nie mogłem przedtem zauważyć.
Bo głowa moja myślała coraz szerzej.

I tak minęło wiele lat.

Bardzo zmieniło się wszystko.
Życie odbywało się o wiele smutniej,
gwar przycichł.
Lamparty biegały chyłkiem — truchtem, z podwiniętymi ogonami i nie dawały już takich skoków, jak dawniej.
Antylopom wydłużyły się pyski w ton żałosny.
Po nocach wycie „Simrów" i szakali
— nie dawało spokoju mieszkańcom zarośli
i napawało trwogą.

Bo przyszedł Człowiek,

biały Człowiek we wielkiej liczbie
i począł trzebić Puszczę i zabijać zwierzęta.



I budował wał wielki,
a na wale przybijał Żelazne Ljany,
dwie równolegle do siebie,
a po Ljanach jeździły ogromne, czarne rzeczy,
wielkie, jak domy Murzynów
i wypluwały biały dym z głowy.

Biada Ludziom,

którzy zakłócają spokój Dżungli,
którzy przychodzą z nienacka
i nagle strzelają z rury ognistej,
aby zwierzę przewróciło się nieżywe
niespodziewając się śmierci
i zostało obdarte ze skóry —
przypalone na ogniu
i pożarte niecnie, bezwstydnie,
w sposób Ludzki.

Biada Ludziom,

którzy są niepodobni do wszystkiego,
którzy mają sierść tylko na czubku głowy,
którzy noszą na ciele białą korę,
którą zdejmują bezczelnie,
gdy się kąpią,
— którzy mają na głowach białe melony,
aby im sierść nie wypłowiała
od Słońca.
A nadewszystko

Biada Ludziom!
Zemsta Ludziom! —

za ich długie, strzelające patyki,
które zabijają szybciej, niż trąba Słonia
i ogon Krokodyla.
One są proste i czarne,
jak węże-pytony
z okolic rzeki Pomarańczowej
i plując wydają huk, jak spadające drzewo
w czasie burzy.
Boi się ich Lew,
boi się w swej obwisłej skórze Nosorożec,
boi się Lampart o giętkim kręgosłupie,
boją się stada Antylop — Aryelów,
przebywających, jak wiatr chybkonogi
trawiastą pustkę stepów. —
Boi się drzewo, które Człowiek rąbie
i papuga, razem z małpą siedząca na gałęzi
i Ja, Słoń, który mogę być przez Ludzi zabity...

A potem,

zaczęło być jeszcze okropniej.
Bo zaczęły nadjeżdżać gromady na koniach,
olbrzymie stada Ludzkie pieszo
z rozmaitych stron —
i Ludzie strzelali do Ludzi.
Domy i szałasy były czerwone w ogniu
i paliły się, jak trawy.
Na plantacjach ryżowych stały żelazne Trąby
i huczały tak głośno,
że Puszcza zatykała uszy.
Papugi twierdziły stanowczo, że to była: „Wojna"!
Ludzie z dalszych legowisk,
napadli na Ludzi, żyjących między nami
i chcieli im odebrać to, co było ich własnością.

I zdarzyło się,

że ja, Słoń, zabiłem Człowieka,
który mi wszedł pod trąbę.
Niestety!



A było w ten sposób

Jadłem i połykałem strączki akacji.
Chrupałem sobie uczciwie i w sposób legalny,
mój żer.
A tu tymczasem,
na stepie rozpalonym od słonecznego południa
zrobiło się pełno kurzu i wrzasku. —

Przebiegli koło mnie trzej, którzy uciekali,
— a potem po świeżym tropie
galopowały konie ze swoimi Ludźmi...
Przytem słychać było: pif! paf!
— a echo szczekało po Puszczy...
Małpy śmiały się ze strachu,
— papugi czerwone pofrunęły na miejsce odległe —
słabsze stworzenie uciekło poza obręb,
a Sęp krakał radośnie,
bo krew dała się czuć w powietrzu.
I nastąpił moment,
że trzej bez koni oglądnęli się na tych, którzy byli z tyłu
i zobaczyli ich tuż, tuż za sobą — i zaczęli krzyczeć.



Co potem?

Potem strzelające patyki zaczęły pluć ogniem —
— a Ludzie pluli krwią...
Trzej przewrócili się jeden po drugim.
Dwa konie straciły z grzbietów swoich dwóch —
— a sześciu, którzy zostali, wymachiwali kapeluszami
i wyli, jak szakale: Hurra! hurra!

To wszystko,

rozdrażniło mądrego Słonia,
(którym byłem Ja)
i kazało mu na chwilę oszaleć pożądaniem krwi.
To też zaryczał potężnie i zatrąbił Słoń
(którym byłem Ja)
i dostał drapieżnego udaru w głowie między uszyma,
— machnął trąbą w złych zamiarach
i oderwał łeb Człowieka od kadłuba.
A konie kwiczały,
i uciekły na obszar trawiasty —
Ludzie zaś skakali i padali i gonili i strzelali —
— a jeden przestał oddychać i miał krew na sobie pod sobą.
A mądry, zrównoważony Słoń,
(którym byłem Ja)
poszedł do lasu na czterech nogach,
bardzo prędko,
bo go ścigali i kaleczyli z rur ognistych
i znikł im z oczu —
aby potem uspokoić się i uciszyć serce
i jeść powolutku pulchne strączki akacji...

Ale od tego czasu

przestałem być zwyczajnym, porządnym Słonem,
a stałem się tem:
którego nazywają: „Słoń Samotnik",
(bo jest samotny, zdziczały, napada i zabija).

Bali się mnie wszyscy.

Słonie uciekały przedemną już na sto długości trąby,
Bawoły chowały łby między nogi, aby nie widzieć.
Antylopy skaczące na milę odemnie już obwąchiwały wiatr,
Lamparty przesmykiwały się ostrożnie z miękkim spodem
na łapach i pazurach, aby nie zaszeleścić w ciszy na
złość Panu.
A jam był Panem Puszczy, —
dziki, zły, rozjuszony i srogi z wielkimi kłami pod trąbą.
— — — — — — — — — —

I oto jednego wieczoru

nad smutnem, boleśnie szumiącem jeziorem
załzawionem skargą, poruszanem wiatrem sitowia,
gdy był straszliwie groźny zachód słońca,
a powietrze i ziemia pływały w kolorze miękkim,
ja dostałem obłędu pychy.
Hrrmfaha! Ooo! Uuu! —
Bo uderzył mi do głowy zapach trawy po deszczu
i jednostajny plusk fal na jeziorze
i sędziwy szum-szelest Dżungli
i zdławione ryki zwierząt w głębi czarnej Puszczy.
I poczułem się na rozkraczonych, grubych nogach
w całej jędrnej mięsistości stu pokoleń
od mamutów po dzień dzisiejszy. —
I poczułem się mocarz w stawach i przegubach,
Bo mi szła taka wieczna potęga od środka nieba
do środka ziemi, przez mój stos pacierzowy.
Bo mi naszło do płuc za dużo wiatru,
bo mi wściąkło do krwi zawiele wilgoci z przestrzeni
I począłem otwierać szerokie szczęki i żuć niebo



I ryczeć w szale.

Hrrmfaha laila! Ooo! Uuu! Ramatlabama! Umba!
Jeden jest Urum-Baba
i jedna jest ziemia z należącem do niej niebem!
Nie może być takich dwu na jednej ziemi!
Przeto wynoś się z mojego obrębu Trąbo Wszechmocna...
Wynoś się w próżną dziurę, gdzie niema nic!
Bo wyrwę z korzeniami tysiące baobabów
i będę ciskał w Ciebie raz po razu,
aż zostaniesz zgnieciona na płask —
do samego końca!!!

Jeden jest mocarz Urum-Baba z białą, twardą kością
i jeden jest świat należący do niego!
Ugnij się każdy grzbiecie przed Panem!
Przycichnij każde zagłośne zwierzę!
Przestań Puszczo węszyć ślady i polować, tam gdzie ja jestem!
Urum-Baba! Utamera! Hrrmfalailala! Ooo! Uuu!
— A skorom tak powiedział, rozgniewała się Trąba Wielka
— i stała się rzecz straszna.

Koniec części pierwszej.

...Ja tylko śnić o tem mogę!

Widziałam jak hufiec ułanów szedł w bój!
— Wschodząca im zorza jaśniała nad głową,
I w blasków tęczowych przybrała ich strój.
A szumy drzew grały pobudkę bojową —
A ptaki śpiewały poranny hymn swój.
Hej! pędzą ułani! Jak wichry rwą konie.
Na skrzydłach unoszą ich szału, —
Przed nimi — w łun krwawych odblasków świat płonie
I iskra pożaru zatliła w ich łonie —
Płomieniem wybuchła zapału!

I wiatr ich upaja, co bije im w skronie...

Ja stałam na boku, patrzyłam na drogę
I łzy mi do oczów wzbierały —
Dlaczego ja z nimi tak pędzić nie mogę?
Czy dzwony w Ojczyźnie bijące na trwogę
Ich tylko pomocy wzywały?
W tem — drgnęło mi serce — bo tam, z ułanami
Mój chłopiec z oczyma modremi...
Rzekł do mnie: „nie czekaj! chodź z nami, leć z nami,
Na koniach jak wichry, pędzeni wichrami
Dla Polski po wolność jedziemy!
I porwał mię z sobą, w zawrotny niósł szał,
W wir jakiś bezkresny, upojny, szalony — — —
Mój koń pędził wichrem, unosił mię, rwał,
Wnet ptakiem uleci w podniebne gdzieś strony
Bo ziemi zabraknie pod kopyt tych cwał!!
— Jak cudnie upaja ta dzika swoboda,
Co każe na jawie czarowny sen śnić.
Już zginę wnet może... — lecz zginąć nie szkoda,
By chwilkę przynajmniej tak żyć!!!

Coś z cicha szeleści... to szemrzą gdzieś drzewa,
To wiatr, co mi w pędzie warkocze rozwiewa,
Coś dzwoni... to brzękła ostroga o strzemię,
To pewnie podkowa upadła o ziemię
I głos jakiś słychać!?... ułani śpiewają,
Nie! — słowa modlitwy rozróżnić się dają
I dzwonka wyraźny w niej dźwięk!!?
Koń zarżał żałośnie — wzrok smutny mi śle,
On spojrzał miłośnie i rozwiał się w mgle
W tęsknoty nieznany mi lęk...

Ach gdzież on? — I oczy otwieram szeroko
Tak biało! czy biały to koń?
Czy śniegiem pokryła się błoń?
Białością olśniła mi oko.
— — — — — — — — — — — —
A biel dziwna w kształty się jakieś układa,
W pościeli się fałdy normuje,
W postaci firanki przed łóżkiem mem spada
I... budę klasztorną wskazuje...
I Matki Anieli głos słyszę z daleka,
Jak mówi poranne pacierze —
Więc już go nie ujrzę? Nie na mnie koń czeka,
Nie dla mnie Ojczyzna — rycerze. —
Ja tam już nie wrócę!... Ach, mnie tam nie było,
Nie pomknę już wichrem przez drogę — — —
Więc to był sen tylko — więc to mi się śniło!
Ach! ja tylko śnić o tem mogę!

ŻABI BAL.

(Opowiadanie dla najmłodszych).

Chlap!... Chlap!... Chlap!...

Któż to tak ciężko stąpa? Aa! — to żabi listonosz Głośnołazik. Niesie przed sobą całą plikę zaproszeń na bal, — które musi doręczyć wszystkim rodzinom żabim, mieszkającym w tej okolicy. Nic też dziwnego, że Głośnołazik wzdycha, spoczywa co parę kroków, lecz zaraz puszcza się dalej, boć to już południe — a wieczór bal.

Z głównej drogi skręcił w bok. Nie chce chodzić tam, gdzie ludzie chodzą, a szczególniej nieznośne dzieci. Te, jak się tylko jaka nieświadoma żabka pokaże, oho! już ryp kamieniem! Zresztą — ktoby tam o tych rzeczach wspominał; Głośnołazik strasznie nie lubi o tem myśleć, a chcąc uniknąć spotkania z takiemi dziećmi, chodzi sobie innemi, dla żab tylko dostępnemi drogami.

U stóp małego pagórka, w oprawie siwych i krzywych ze starości wierzb leżał, no... zgadnijcie co?... staw! Mały błotnisty staw, ot taki, jakich to dużo jest na wsi. Tam skierował swe kroki Głośnołazik; przed samem wejściem odsapnął trochę, bo nie chciał, aby poznano jak jest zmęczony (miał astmę, a wstydził się tego) i chlupnął do wody.

Tu mieszkała rodzina Skoczków, a składała się ona z ojca, matki, dwóch chłopczyków i dwu dziewczynek; chłopczyska to byli wielcy urwisze, wszyscy sąsiedzi skarżyli się na nich. Dwie dziewczynki... zwyczajnie dziewczynki, były grzeczniejsze, cóż z tego, kiedy ciągle się mazały.

Głośnołazik trafił właśnie na chwilę, kiedy ojciec z matką rozgniewani, już... już zabierali się do bardzo niemiłej czynności... Oj! bo tak małe żabki wrzeszczały...

Aż tu.

— Kwm — kwm — kwm.

— Kto tam?

— Ja, Głośnołazik, przynoszę zaproszenie na bal.

Żaby wiedziały o balu, ale u nich to taki zwyczaj, że bez zaproszenia iść nie można. Zaraz ogromnie ucieszone zaczęły wołać:

— Aleśmy rade, rade, rade!

Prawda, żeście ciekawi, jakie to były te zaproszenia? Na zielonym listeczku żabi pisarz, Skrobiszpilek, wypisał je bardzo pięknie. Niktby nie przeczytał, ani wy, chociaż czytać umiecie, bo żaby mają całkiem inny alfabet. — Pan Skoczek wdział na nos okulary i czytał, co tak brzmiało na naszą mowę przetłumaczone:

„Przyjechała królewna Wiochna, na jej przyjęcie u pp. Zielonków odbędzie się pod gołem niebem na murawie bal. Mnóstwo niespodzianek; — ze śpiewem solowym wystąpi bawiący u nas w przejeździe znakomity tenor włoski Citrino, — orkiestra własna. Mile widziane żabki w kostjumach. Początek punktualnie z ukazaniem się pierwszej gwiazdy na stropie niebieskim. Wstęp wolny, ale datki pożądane. Czysty dochód przeznaczony na fundusz wywłaszczenia bocianów z kraju“.

Tak to mniej więcej napisane, — pewnie nie całkiem tak lecz darujcie, — język żabi jest bardzo trudny, a ja go jeszcze dobrze nie znam.

Po odejściu Głośnołazika ruch stał się wielki. Małe żabki zaraz w bek, że nie mają sukienek, chłopcy zaś skakali z radości i było „wiele chałasu o nic“.

Pani Skoczkowa pobiegła natychmiast na łąkę, narwała różnych kwiatków, listków, wstąpiła po drodze do lasu, uzbierała igieł sosnowych, z tem wszystkiem odwiedziła sąsiadkę panią Kumkową, celem naradzenia się co do uszycia sukienek. Jak się to tam odbywało, powiem wam kiedyindziej, dość że na wieczór żabki były postrojone i gotowe na bal.

Jedna miała sukienkę z listków naszytych stokrótkami, na głowie wianuszek z tych kwiatów: „Czysta Stokrótka“. Druga miała taką samą sukienkę, tylko zamiast stokrótek małe, wątłe kwiatuszki, zawilce gajowe. Znacie pewnie? Na głowie żabka nie miała wianuszka, tylko jeden kwiat, niby kapelusz. Matka, jako poważna osoba, ubrana była w brązową pelerynę ze starych zeszłorocznych liści, a ponieważ obawiała się wieczornego chłodu, na szyję założyła sobie popielate futerko, kosmatą bazię. W ręku trzymała olbrzymi wachlarz. Pan Skoczek i synowie byli w świątecznych ubraniach.

O 50 susów od mieszkania Skoczków była łąka, gdzie miał się odbyć bal. Cała rodzina Zielonków, a była ona liczna, bardzo liczna, już zgromadzona oczekiwała gości. Nasze żabki wejściem swojem zrobiły furorę. Wszyscy zwracali głowy z podziwem, a stara żaba postępując przez środek, kłaniała się na prawo i lewo, bardzo uprzejmie, lecz z godnością.

Inaczej było z panem Skoczkiem i jego synami; — gdzieś się zawieruszyli. Wyszedł on cośkolwiek później z domu, bo musiał wszystko pozamykać, a spiżarnię ryglem zasunąć. — Tak! tak, i żabki boją się złodziei.

Było już pełno gości w różnych, przeróżnych kostjumach. Wszystkich wam nie wymienię z braku miejsca, a i czasu nie mam wiele, na co ładniejszych poprzestanę.

Były kwiaty, bo jedną z niespodzianek miał być „taniec kwiatów“, a więc „Jaskier“, „Pierwiosnek“, był „Fjołek“, nawet i jakaś uboga żabka ustroiła się w pospolity mlecz i ktoby tam wyliczył wszystkie. Panowie w anglezach, frakach, ale nie brakło i takich, co mieli kostjumy. Jeden był „Muchomorem“, miał ogromny czerwony kapelusz w białe kropki i strasznie udawał. Drugi do złudzenia naśladował i był podobny do bociana tak, że co trwożliwsze żabki za jego zbliżeniem chowały się. Było tam śmiechu, było! — A inny — czy uwierzycie? — pożyczył sobie ubrania od krasnoludka i pysznił się niezmiernie.

Jak było zapowiedziane, gdy tu i tam na niebie zaczęły się pokazywać małe świecące punkciki, które my nazywamy gwiazdami, a żabki mówią, że to światy, na estradzie ukazała się jedna żabka z rodziny Zielonków. Estradę stanowił duży kamień w pośrodku, pokryty kosztownym kobiercem, utkanym misternie z wąskich pasemek traw.

Mała żabka, imieniem Pisklik, zaczęła cieniutkim głosikiem deklamować wiersz o wiośnie, jakoś tak:

Wieść radosna,
Przyszła wiosna

a dalej to nie pamiętam, bo Pisklik bardzo niewyraźnie mówił. To podobno bardzo ładny wierszyk. Jak się dobrze nauczę żabiej mowy, to wam go kiedy napiszę.

Gdy Pisklik skończył, wszystkie siedzące mamy i ciocie zaczęły go ściskać i całować z radości; biedny Pisklik przechodził z rąk do rąk, ledwo go nie uduszono; wyrwał się jakoś szczęśliwie i poszedł ochłodzić się.

Z kolei miał wystąpić śpiewak Citrino, ale o tem, co tam dalej było, jak i o przygodach pana Skoczka ze synami opowiem wam na drugi raz.

Z ŻYCIA HARCERZY.

Wystawa harcerska otwartą była w Wadowicach przez dzień 17-go października b. r. Ze względu na to, że jest to pierwsza wystawa niedawno zorganizowanej tu drużyny harcerskiej, z uznaniem podnieść należy świetny, mimo krótkości czasu i trudności w zdobyciu materjałów, wynik prac dotychczasowych. Pomieszczona w niewielkiej sali Rady Miejskiej, dała nam obraz wszechstronności pomysłu harcerek i harcerzy.

Z różnych bowiem działów pracy reprezentowane były roboty ręczne, szydełkowe, hafty, makaty, — dalej roboty włóczkowe, koralikowe, naklejanki, rzeźby, wyroby gliniane i stolarskie. Powszechną uwagę zwróciły zbiory motyli, nasion, oraz wykopaliska z epoki kamiennej z okolic Lisiej Góry. Te ostatnie stanowią cenny zabytek naukowo-historyczny

Na wyszczególnienie zasługują przepiękne skrzynki, wykonania samego druha komendanta. Wzory własnej kompozycji wykonane stylowo, z wielkiem poczuciem artystycznem, przekraczają granicę stereotypowej ornamentyki.

Na ogół czyni wystawa bardzo dodatnie wrażenie, odczuć się daje, że nurtuje w młodych umysłach tutejszej drużyny poryw do piękna i zamiłowanie do pracy.

Sądzimy, że ruch harcerski pociągnie za sobą i inne powiaty, które, jak to już uczynił Andrychów, pospieszą z nowemi pracami na drugą wystawę.

Do pracy Szczęść Boże!

Wadowice, dnia 18 października 1920.

Jerzy Sieniawa Muchowicz, ppor. W. P.



Rycina ta przedstawia projekt oznaki dla harcerskich formacji wojskowych. Motyw lilji na krzyżu wydaje się nam bardzo trafnym. Litery możnaby umieszczać ewentualnie i według innych skrótów — zależnie od nazwy danego oddziału. (Tu: Pierwszy Baon harcerski), lub też ogólniejsze. Również wyzyskać możnaby do tego celu pola między ramionami krzyża. Projekt tej oznaki pochodzi od ppor. T. Bieńkowskiego, znanego i cenionego instruktora harcerskiego w Kielcach, a następnie w Łodzi. Szczególniej aktualną staje się ta oznaka dziś, gdy Związek Harcerstwa Polskiego tak zaszczytnie spełnił swój obowiązek, wysyłając wszystkich swych członków do szeregów wojskowych.

Janina Marokini, uczennica 3 kl. gimn. S. S. Urszulanek, harcerka, zmarła 8 listopada 1920 r., w czternastym roku życia. Rodzinie ślemy serdeczne wyrazy współczucia.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

W chwili, gdy oddajemy do druku ten numer, wyłoniła się sprawa zarówno dla młodzieży, jak i starszego społeczeństwa niezmiernie ważna. Oto wśród młodzieży, która powróciła z wojska powstał samorzutnie, bo znikąd nie inspirowany ruch, zmierzający do przeprowadzenia uchwał, powziętych na wiecu młodzieży tarnowskiej w lipcu b. r., odnoszących się do tych uczniów, którzy nie spełnią obowiązku ochotniczej służby wojskowej, ani do takowej się nie zgłoszą.

Wychodząc z założenia, że stanowisko młodzieży jest tu ze wszech miar słusznem i zrozumiałem, postanowiono uchwały lipcowe bezwzględnie przeprowadzić. Nie wolno dopuścić do kompromisów tam, gdzie droga obowiązku była zupełnie prosta, kolegować z tymi, którzy węzły solidarności koleżeńskiej, przy pierwszej życiowej próbie złamali. Nie można dopuścić do tego, by równe **prawa** przysługiwały dziś tym, którzy gotowi byli krew przelać, jak tym, którzy od **obowiązków** się uchylili. Złożymy dowód, że raz powzięte decyzje, gdy z rozwagą i prawomocnie zostały uchwalone, za święty obowiązek uważamy przeprowadzić. Nie pozwolimy, by raz jeszcze sprawdziło się zdanie, że u nas o przeprowadzeniu tego, co w chwili szlachetnego porywu i entuzjazmu jednomyślnie uchwalano, zupełnie się nie myśli. **Temi** metodami zarażeni jeszcze nie jesteśmy!

Przeświadczona o słuszności swej sprawy młodzież ze stanowiska swego nie ustąpi, pewna poparcia ze strony starszego społeczeństwa, które dojrzy w jej postąpieniu powiew **zdrowy i normalny.**

Do sprawy tej jeszcze powrócimy i omówimy ją szerzej w następnym numerze.

—:—:—

ŻAŁOBNA LISTA...

Wśród najcięższych zmagań, dla okupienia swej zagrożonej wolności, złożyła Ojczyzna ofiarę z najlepszych swych synów. Wyrwani zostali z grona naszego najzdolniejsi przewodnicy, najserdeczniejsi przyjaciele. I łzą zachodzi oko, gdy przerzucić przyjdzie żałobną kartę, na której czerni się ta lista strat... Prof. Mieczysław Schreiber, ppor. 16 p. p.; co z wiarą w zwycięstwo, z entuzjazmem, z radością niemal szedł w pole; Władysław Wodniecki, ppor. 4 p. p. Leg., b. drużynowy 3. tarnowskiej drużyny harcerskiej i komendant miejscowy, ukochany przez chłopców zwierzchnik. Uczniowie dawniejsi I. gimn. tarnowsk. — rotm. Zbigniew Niesiołowski i ppor.-lotnik Zdzisław Jakukowski; z kolegów obecnych złożyli młode swe życie w ofierze Stanisław Mycoń, Mieczysław Gubowski, Tadeusz Krynicki, Tadeusz Regiec, Stanisław Mamuszka i wielu, wielu innych.

Serdeczna pamięć kolegów, przeświadczenie, że Ci najlepiej zasłużyli się Ojczyźnie, niech będzie pociechą dla rodzin, szczęśliwych, że takich synów i braci posiadały.

Wydawca: Mieczysław Giżbert-Studnicki. Z drukarni Józefa Pisza w Tarnowie, pod zarządem St. Starostki.